

## CZESŁAW MIŁOSZ

### MERTON

Przywilejem długiego życia jest możliwość przywołania z pamięci osób, które dla wielu są jedynie legendą.

Moja przyjaźń z Tomaszem Mertonem zaczęła się w początku lat sześćdziesiątych, kiedy zaproszony przez niego przyjechałem do klasztoru Gethsemani. Nie jestem tutaj dokładny, bo przyjaźń zapoczątkował listem do mnie, kiedy jeszcze mieszkałem we Francji, Tomasz Merton, po przeczytaniu mojej książki *Zniewolony umysł*.

Spotkanie w klasztorze trochę mnie zaskoczyło, bo wyobrażałem sobie Mertona jako osobę ascetyczną, wychudłą, pożółkłą, jeżeli nie od modlitw, to od ślęczenia nad księgami. Tymczasem był to mężczyzna o twarzy w miarę szerokiej i jowialnej chłopa z Burgundii, tak jak to przedstawiano na drzeworytach. Być może jego duchowość, tak dobrze zakorzeniona w ciele, przezierала również przez zdania, które pisał w swoich książkach i listach. Doceniałem jego niezwykłość jako człowieka świeckiego, który zanim został zakonnikiem, miał za sobą dość burzliwą młodość w wielkich miastach nowoczesnej cywilizacji. Przyznam się, że chciałem coś o tej młodości się dowiedzieć i próbowałem to odczytać z wczesnych jego wierszy. Niektóre z tych

wierszy, katastroficzne i apokaliptyczne, ukazywały Nowy Jork jako Babilon nieprawości. Zdumiała mnie równoległość nastrojów katastroficznych w Nowym Jorku lat trzydziestych i w moim Wilnie, bo przeciwieństwo naszej grupa literacka „Żagary” była znana ze swego katastrofizmu. Dodam, że zarówno w ówczesnym Nowym Jorku, jak w Wilnie odczuwało się wpływ marksizmu na sposób myślenia o XX wieku. Żaden z nas nie wybrał ucieczki od świata, ale przecież Merton wybrał ją tylko paradoksalnie, tzn. próbował pogodzić życie kontemplacyjne mnicha ze swoim udziałem w świecie. Służyła mu do tego celu olbrzymia korespondencja, w której nie raz zaciera się granica pomiędzy listem do danej osoby i apelem do opinii publicznej. Była w tym pewna sprzeczność, bo z jednej strony nie wystarczał mu udział w zakonnej wspólnoty i tęsknił do życia eremity, z drugiej strony był chciwy wszelkich informacji przychodzących z zewnątrz klasztoru. A lata zwłaszcza sześćdziesiąte były to okres burzliwy w życiu Ameryki, bo toczyła się walka o równe prawa dla czarnych i zarazem rozwijał się ruch pacyfistyczny przeciwko wojnie w Wietnamie. Muszę tutaj wspomnieć o jeszcze jednej dziedzinie, w której Merton był aktywny – o jego licznych przyjaźniach z poetami. Sam wydawał odbijane na powielaczu pismo poetyckie pod nazwą „The Monk’s Pond”, a więc „Sadzawka mnicha”, w której publikował wiersze mało znanych szerszej publiczności poetów. Miałem zaszczyt należeć do tych autorów.

Poza tym Merton przyczynił się do znajomości polskiej poezji w Ameryce. A było tak, że wspominałem mu o ułożeniu przeze mnie antologii polskich wierszy w przekładzie moim i moich studentów pt. *Postwar Polish Poetry*. Poprosił o maszynopis i książka tak mu się podobała, że polecił ją swoim przyjaciółom w wydawnictwie Doubleday i ukazała się w tymże wydawnictwie w roku 1965. Według świadectwa wielu poetów amerykańskich ta antologia, przeczytana kiedy byli jeszcze studentami, zrobiła na nich duże wrażenie i wywarła trwałe wpływy na ich własną poezję.

Moja wymiana listów z Mertonem najpierw ukazała się w języku polskim w przekładzie z maszynopisów w roku 1991, natomiast oryginał zaopatrzonego tytułem *Striving Towards Being* („Dążąc do Bytu”) dopiero w kilka lat później, w 1997 roku. Jest to ciekawe zderzenie umysłu amerykańskiego z umysłem europejskim, bo jednak Merton był bardzo amerykański, a ja czułem się Europejczykiem. Wysoce ceniłem optymistyczne dziedzictwo Mertona, a więc pisma Emersona i Walta Whitmana, ale sam byłem bardziej pesymistyczny, do czego przyczyniały się zapewne nasze doświadczenia z historią, choć pewnie też w moim wypadku pewne przyrodzone skłonno-

ści manichejskie. Stąd mój kult takich postaci literatury francuskiej, jak Simone Weil i Albert Camus, zresztą postaci sobie pokrewnych, bo Camus wysoce cenił Simone Weil i był wydawcą jej pism. Nie miałem tutaj trudności w porozumieniu się z Mertonem, ponieważ był dwujęzyczny, czytał dużo, zarówno po angielsku, jak i po francusku.

Nazwisko Mertona stało się w pewnym sensie symbolem otwarcia niektórych katolików na religijną myśl Azji. W naszej epoce, której kultura masowa chłonęła również wszelkie pomysły New Age, łącznie z popularnością buddyzmu Zen, do tego stopnia, że można już mówić o buddyzmie Hollywoodu, bardzo potrzebny był ktoś przygotowany do spotkania z Dalekim Wschodem dzięki swojej dyscyplinie życia kontemplacyjnego. Mieszkając długo w Kalifornii, zawsze pamiętałem ostrzeżenie Carla Junga, że umysł zachodni zwykle łądzi się, kiedy zdaje mu się, że potrafi wniknąć w istotę religii zrodzonych w Azji. Tutaj okazuje się przydatność postawy takiej jak Mertona, który unikał pochopnych sądów i zbliżał się do tybetańskich mnichów z wysiłkiem zrozumienia, a zarazem jako chrześcijanin. Jego *Dziennik azjatycki* jest z tego względu szczególnie cenny. Jakikolwiek były momenty jego wewnętrznego doświadczenia w tej podróży, o których mało wiemy, bo działo się to na krótko przed jego śmiercią, pozostaje dla nas postacią ekumenicznego otwarcia, ale nie rozpowszechnianego dzisiaj taniego synkretyzmu.

Wiek XX pozostaje dla nas wiekiem wielkich zbrodniarzy, ale też nielicznych jasnych postaci, których myśl twórcza być może przechyla szalę zwycięstwa dobra nad złem. Wśród tych postaci widzę Simone Weil i Alberta Camusa, ale też Tomasza Mertona.